**Zeszyt 28.** Lwów dnia 10. Października 1879. **Rok I.**

# STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

| PRENUMERATA | WYCHODZI | W. MANIECKI |
|---|---|---|
| kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | Wydawca i odpowiedz. za Redakcją |


## POKUTA.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

I.

Światło bladoróżowe, łagodne i upajające, jak to, które o zmroku wpada do salonu tureckiego przez okna różnobarwne, oblewało pokoik niewielki, ale pięknie urządzony, w którym właśnie ułożyły się do snu dwie młodziutkie panienki. Światło padało z lampy, mającej kształt kuli działowej, która wisząc pośrodku sufitu na łańcuszku metalowym, według zwyczaju przyjętego z dawien dawna w domu państwa Zapolskich, w pokoju gościnnym płonęła zawsze noc całą, chyba że która z pań, nie mogąc usnąć przy jej blasku, kazała ją sama zgasić.

Pokój, o ile w tem półświetle można było dojrzeć, miał piękne obicie koloru pompadour; pod ścianami stały naprzeciw siebie dwa łóżka machoniowe, mające u góry osłony z grubego adamaszku, które spięte pod sufitem w kształcie korony, na obie strony w fałdach spływały; między łóżkami stała otomanka, na boku gotowalnia, ustrojona w biały muślin jak panna młoda do ślubu; zwierciadło ruchome, wielkości osoby dorosłej, klęcznik, nad którym jaśniał obraz Matki boskiej według Carlo Dolci i szafa na suknie. Na ścianach wisiało kilka sztychów w ramach złoconych.

Panna Zofia i Helena, położywszy się przed godziną, a nie mogąc usnąć, pousiadały na łóżeczkach i długo rozmawiały o balu, który za dwa dni miał się odbyć w sąsiedztwie, u państwa Armatowiczów. Nakoniec wyczerpawszy przedmiot prawie zupełnie, powiedziały sobie nawzajem: dobranoc, i odwróciwszy się do ściany, ponakrywały się kołderkami. Chwilę obie leżały spokojnie i obie udawały, że śpią jak zabite; potem jedna westchnęła, za nią druga, i znowu znalazły się w dawnej postawie.

— Nie! nie! ja dziś zasnąć nie potrafię! — szepnęła Zosia.

— To tak samo jak ja! — odpowiedziała Helena.

— Nie wiesz Helciu, co robić na bicie serca? Okropnie mi bije....

— Właśnie o to samo chciałam się ciebie zapytać, bo i mnie bije.

— Szkoda, że ten bal tak prędko postanowiono... gotoweśmy pomizernieć.

— Jak by był później — odrzekła Helena — jeszcze by gorzej było.

— Czemu?

— Bobyśmy się dłużej niepokoiły. A tak raz się stanie!

Ostatnie słowa wymówiła z rezygnacją; Zosia westchnęła. Chwilę obie milczały.

— Gdyby choć moje buciki na czas przyszły pocztą — Zosia znowu szepnęła — tobym się już tak nie martwiła, ale jak ich nie dostanę, zdesperuję moja droga!

— I ja także — Helena odparła — jeżeli mi ze sklepu nie przyszlą rękawiczek. Przecie w tych, które mam, trudno pokazać się na takim balu.

Zosia miała coś na ustach, lecz widząc, że przez drzwi nie całkiem zamknięte, a do drugiego pokoju prowadzące, wdarło się do ich sypialni obce światło, zawołała: Ciocia idzie! i w okamgnieniu do ściany się obróciła. Helena poszła za jej przykładem.

We drzwiach, z małą lampką w ręce, która u góry była przysłonięta, pojawiła się w nocnym a strojnym negliżu, osoba bardzo jeszcze młoda i nie mniej piękna. Negliżyk biały, batystowy, obszyty koronkami i ozdobiony kokardami z jedwabiu niebieskiego, osłaniał jej smukłe kształty: biała koronkowa chusteczka z kokardą także niebieską, spoczywała na włosach, które jak fala złota roztopionego, spływały ku ziemi po jej ramionach toczystych. Twarz młodej kobiety nie miała może rysów zbyt

regularnych; za to taki urok był po niej rozlany, tyle wdzięku ukrywało się w ustach pełnych i różowych, tyle figlarności było w dwóch dołeczkach po obu stronach pełnej buzi, mającej cerę białą i puszek na niej brzoskwiniowy; tyle nareszcie piękna niezwykłego biło z jej oczu dużych, czarnych, ozdobionych nie mniej czarną rzęsą i brwiami czarnemi, że ktokolwiek by ją teraz ujrzał, musiał by stanąć jak przed zjawiskiem nadzwyczajnem, trzymającem na uwięzi oko, a zwalczającem opór serca najbardziej zimnego.

Pani Zapolska, gdyż ona to była, weszła cicho, bez szelestu najmniejszego; zbliżywszy się do klęcznika, wzięła z niego książkę do nabożeństwa w czarny aksamit oprawną, potem podnosząc lampę nad głową, spojrzała na siostrzenice. Zosia udawała, że spi w najlepsze — Helena wyglądała jak osoba w głębokim śnie pogrążona.

— Szczęśliwe dzieci! — szepnęła półgłosem i wyszła.

Zaledwie znalazła się za drzwiami, obie panienki znowu usiadły na łóżeczkach.

— Ciocia powiedziała — rzekła Zosia — żeśmy szczęśliwe... Łatwo jej to mówić, bo ani przypuszcza jakie mamy zmartwienie.

— Ona już zapomniała, kiedy była na pierwszym balu! — dorzuciła Helena. — Dla niej bal nie nowina!... I ja bym się nie bała, gdyby to był trzeci lub przynajmniej drugi bal, ale pierwszy, to nie żarty! Aha, Zosiu, chciałam cię jeszcze o coś zapytać — dobrze ty tańczysz? jesteś pewną siebie?

— Zdaje mi się, że nie źle... uczyłam się przecie dwie zimy i w domu kilka razy tańczyłam.

— W domu nie sztuka! — Helena odparła — w domu łatwo tańczyć... ale na balu!

— Wszak to bal także nie publiczny, tylko domowy — Zosia zauważyła.

— Prawda, ale zjazd będzie wielki. Mówią, że się zbierze cała okolica.

— My jednak, moja droga Heluniu, kłopocemy się rzeczami, które może całkiem nie nastąpią. Myślimy o tańcach, a wielkie jeszcze pytanie, czy znajdziemy danserów. U państwa Armatowiczów będzie kilkanaście panien na wydaniu i drugie tyle młodych mężatek, które także zechcą się zabawić, któż więc będzie się zajmować takiemi jak my podlotkami?

— Przepraszam cię Zosiu, ja się do podlotków już nie liczę... Przed miesiącem skończyłam lat czternaście i tego karnawału dostanę długą sukienkę.

— Jeżeli tak — Zosia odparła — to i ja przestałam być podlotkiem, właśnie bowiem wczoraj skończyłam czternaście. Nie przeszkodzi to jednak sprzedawaniu pietruszki, jeżeli nasi danserowie jutro nie przyjadą.

— Nie lękaj się! — rzekła Helena — ciocia dziś mi mówiła, że w tem głowa wujcia. Jutro przyjedzie on z miasta i przywiezie najmniej trzech danserów, ma się rozumieć tylko dla nas dwóch i dla cioci. Ach! Boże jaki ten wujcio zabawny! Kiedyś tu powiedział, że nie chciałby nas widzieć w tańcu z samymi Ormjanami, gdyż mogłybyśmy sobie poniszczyć nasze toalety.

— Toalety poniszczyć? — Zosia powtórzyła.

— Tak jest... wujcio utrzymuje, że Ormjanie pocą się atramentem.

Obie panienki zaczęły śmiać się serdecznie; bojąc się jednak, by ich ciocia nie usłyszała, poukrywały głowy w poduszki. Chwilę to trwało dopóki Zosia znowu nie przemówiła:

— Ktoby przypuścił, że wujcio umie być tak złośliwym! Dla tego, że każdy Ormjanin czarny, więc mówi, że oni pocą się atramentem... A to złośliwość! Ciekawam, co teraz powie o ich nosach.

— Ręczę, że coś znajdzie.

— Ale, ale Heleńciu, jeźli by się przypadkiem zdarzyło, żeby mnie danser w tańcu zanadto silnie do siebie przycisnął, jak ci się zdaje, com wtedy powinna uczynić?

— Alboż ja wiem, moja droga! W takiem położeniu jeszczem się nigdy nie znajdowała.

— Zapytam ciocię.

— Ciocię? — odpowiedziała Helena. — Mnie się zdaje, że to zbyteczne... W takich wypadkach trzeba działać według instynktu, on najlepiej poradzi.

W przyległym pokoju wybiła dwunasta.

— Ach! już północ! — Zosia zawołała. — Teraz trzeba spać, bośmy jutro doprawdy gotowe mizernie wyglądać. Co by powiedzieli ci panowie, którzy z wujciem przyjadą!

— Niech mówią co chcą — Helena odparła — byle raz już przyjechali i byli do ludzi podobni. Brzydkich nie chcę na oczy!

— A mnie wszystko jedno jak będą wyglądali, byle dobrze tańczyli. Dobranoc Heluniu!

— Dobranoc Zosiu!

Obie obróciły się do ściany i tym razem już naprawdę usnęły.

W ich wieku, zwłaszcza gdy się z miasta na wakacje do cioci przyjedzie, czy może być większa przyjemność jak bal, na którym będzie par kilkadziesiąt?

Helena i Zofia były dwiema córkami, dwóch sióstr stryjecznych pani Zapolskiej, i pierwszy raz miały być na balu. Czyż taki wypadek nie stanowi epoki w życiu panienki czternastoletniej?

## II.

Dwór w Przyboczy był jeszcze cały uspiony, gdy młode panienki zbudzone chrypliwem pianiem koguta, który pod okna przyszedł im zrobić serenadę, zerwały się z miękkiej pościeli. Helunia podciągnęła story u okna, o które słońce sierpniowe uderzało promieniami złotemi, a Zosia, której serduszko jeszcze się nie uspokoiło, otworzywszy okienko, wpuściła do pokoju szeroką strugę powietrza świeżego. Odetchnęły głęboko i było im weselej. Jakiż to wpływ

czarodziejski wywarło to jedno, a tak krótkie słówko: bal! Nie dawniej jak przed miesiącem, matka Zosi uskarżała się przed siostrą, że córki w domu nie może się dobudzić, co guwernantkę do rozpaczy doprowadza; matka znowu Heleny utrzymywała, że w pokoju jej jedynaczki nie można nigdy, nawet w lecie, okna otworzyć, Helunia bowiem jest tak delikatna, że najlżejszy powiew wiatru rannego nabawia ją gorączki kataralnej. Dziś natomiast obie dodnia wstały, obie kąpały się w świeżem powietrzu i jakoś nic im to nie szkodziło.

Powoli w obszernym dworze ruch się zaczynał. Sługi budziły się jedna po drugiej, drzwi otwierano i zamykano, garderoba napełniła się szeptami. Z tem wszystkiem ciągle jeszcze było cicho, jakby bano się kogo zbudzić. W rzeczy samej tą osobą jedyną, nad której snem cały dwór czuwać był obowiązany, była sama pani domu, która przed dziewiątą, bez względu, czy na dworze była zima, czy lato, nigdy nie wstawała. Dopiero gdy w garderobie dzwonek się odezwał, a był on połączony tylko z tą jedną szarfą, która wisiała nad łóżkiem pani domu, dopiero wtedy wolno było głośniej mówić i chodzić niekoniecznie już na palcach. Do tych, którzy szanowali cichość snu pani Zapolskiej, należały także dwa wyżły, niegdyś za lat młodych ulubieńce jej męża, dziś na starość przez nią zepsute pokojowce. W dzień były ciągle przy swojej pani, w nocy spały na porządnych materacach w garderobie. Jak tylko widnieć zaczynało, podnosiły się z legowiska, a wyciągnąwszy się należycie i ziewnąwszy kilka razy, siadały naprzeciw dzwonka i patrząc ku górze, jak astronomowie gdy gwiazdy śledzą, czekały na pierwsze jego poruszenie. Jak skoro serduszko w dzwonku zadrgało, oba z krzykiem i łomotem naprzód się rzucały, i nie zważając na służących, którzy im czasem drogę zagradzali, spieszyły do swojej pani na „dzień dobry.“

Zosia miała wielką ochotę zaglądnąć do garderoby.

— Nie wypada — Helunia perswadowała — przecie nie tylko panna Moreau, ale i ciocia nie raz nam mówiła, że panienki w naszym wieku nie powinne same chodzić do garderoby.

— Ciekawam dla czego? — dąsając się Zosia zapytała.

— Dla czego, sama nie wiem... chociaż zdaje mi się, iż prawdopodobnie dla tego, że tam nie dla nas towarzystwo.

— A przecie jak za mąż pójdę, będę miała własną garderobę i wtedy zawsze sama będę chodziła.

— Wtenczas co innego.

— Ależ Heluniu! ja bym rada tylko zobaczyć, czy nasze sukienki na ukończeniu. Wpadnę na chwilę i zaraz wrócę.

— Daj pokój Zosiu... jak sukienki będą gotowe, panna Barbara sama je przyniesie, a tymczasem i ciocia wstanie.

Rada nie rada Zosia ustąpiła, chociaż jej to wielką przykrość sprawiło. Z natury żywa, roztrzepana, nie lubiła na nic czekać i wszystko, jak to mówią, w rękach jej się paliło. Dobrze jednak zrobiła, że tym razem powstrzymała żywość swego temperamentu. Równocześnie, gdy pani Zapolska wstawała, a oba wyżły, machając radośnie przy jej nogach twardemi ogonami, nawet siostrzenicom nie pozwalały do niej przystąpić, weszła garderobiana, niosąc dwie przepyszne sukienki: niebieską dla blondynki Heleny, różową dla brunetki Zosi. Na ten widok dziewczątka aż w dłonie klasnęły!

Koło południa panienki bardzo posmutniały; od godziny spodziewały się posłańca, który konno na pocztę pojechał, a jeszcze go nie było. Takie oczekiwanie, połączone z niepewnością, ażali przywiezie, czego się spodziewały, było okropne!

— Najlepiej będzie ciociu kochana — przemówiła Zosia — jeżeli sobie ten bal wyperswadujemy.

— I ja tak myślę — dodała Helena prawie z płaczem.

— A to czemu? — spytała pani Zapolska.

— My tańczyć nie umiemy! — pierwsza szepnęła.

— I danserów nie mamy! — druga dorzuciła.

Ciocia uśmiechnęła się, widząc rozpacz taką. Wszak niedawno i ona była panienką młodziutką i szła na pierwszy bal!

W pół godziny zasmucone czoła wypogodziły się zupełnie, z poczty bowiem przyszły śliczne buciki atłasowe, i rękawiczki ze skórki delikatnej, sięgające do łokcia, i wachlarze bardzo ładne, i książeczki do zapisywania danserów z kości słoniowej i wiele innych rzeczy, które przezorne mamy same przysłały, chociaż jedynaczki nie śmiały o nie prosić. Radość była teraz bezgraniczna!

Po południu przyjechał pan Zapolski, w towarzystwie trzech młodych ludzi, bardzo przyzwoitych, którzy dobrze byli znani, tak gospodyni domu, jak jej siostrzenicom. W pół godziny później pani Zapolska ubierając się do objadu, była właśnie zajęta przypinaniem kokardy do włosów, gdy do jej pokoju wbiegły obie siostrzenice. Blade były, w piersiach brakowało im oddechu, słowa nie mogły przemówić.

— Cóż się stało? — zapytała nie tyle przestraszona, co zdziwiona.

— Ach! ciociu, ciociu! — zawołała Zosia pierwsza, rzucając się jej na szyję. — Jużem zaangażowaną do wszystkich tańców!

— I ja ciotuniu! i ja! — dodała Helunia, obejmując ją z drugiej strony za szyję.

— A może zostaniecie teraz w domu? — ciotka zapytała.

— Ach! nie ciociu, nie! — obie ją zakrzyczały, całując ją najpierw po twarzy, potem po rękach.

Patrząc na te trzy osoby, przypominające siebie rysem familijnym, można je było wziąć za trzy siostry rodzone. Wprawdzie pani Zapolska była od swoich siostrzenic starszą o lat dziesięć, ale ponieważ wyglądała najwięcej na lat dwadzieścia i obie urodą przewyższała, więc nikt by nie był przypuścił, że ta śliczna kobieta miała już poważną nazwę cioci.

### III.

W ogrodzie pod kasztanami, dokoła stołu podłużnego, na którym widać było prawdziwą porcelanę serwską, srebra i kryształy, cały dom państwa Zapolskich siedział przy śniadaniu. Pierwsze miejsce zajmowała gospodyni domu, pani Celina, w ubiorze porannym, piękności niezrównanej, w którym dobry smak połączył się z zamiłowaniem do strojów osoby na wielkim świecie urodzonej i wychowanej; obok niej, po prawej ręce, dwuletnia Jadzia, siedząc na wysokiem krzesełku, zachowywała się jak osoba dorosła; za nią siedziały obie panienki z oczyma najczęściej ku filiżankom lub bułeczkom skierowanemi, chociaż prawie nic nie jadły; po lewej ręce gospodyni zajęli miejsca danserzy, z których najmłodszy ukończył lat ośmnaście, najstarszy dwadzieścia, co im jednak nie przeszkadzało do pań się uśmiechać i o wszystkiem stanowczy sąd wydawać; na samym zaś końcu usiadł z synkiem czteroletnim, Romciem, pan Roman Zapolski.

Małżonkowie tak byli do siebie niepodobni, że między dwojgiem ludzi trudno sobie nawet wyobrazić większą różnicę. Ona była wzrostu miernego i budowy okrągłej, on nadzwyczaj słuszny i suchy jak skielet; ona miała włos gładki, jasny, jak złotem lśniący — on czarny, kędzierzawy, z połyskiem granatowym; jej oko było czarne i duże — jego siwe i stosunkowo małe; jej twarzyczka była gładka, prawie dziewicza — jego obrośnięta; ona wyglądała jak anioł — on jak opryszek. Każdy ruch pani Celiny był okrągły i pełen wdzięku; przeciwnie ruchy jej męża były kończaste, prawie szorstkie. Ona mówiła wiele i potoczyście — on rzadko się odzywał i rozmowę zwykle prowadził słowami urywanemi. Ona lubiła muzykę, poezję, sztuki piękne, taniec i stroje; on tylko psy, konie i polowanie. Ona była więcej damą niż szlachcianką, on był na wskróś szlachcicem. Jeżeli gdzie, to tu zeszły się ostateczności i może właśnie dla tego ci ludzie się kochali. Między nimi była jakaś nić wspólna, która ich łączyła; było coś, co ich ku sobie pociągnęło od pierwszego zaraz wejrzenia. Teraz ta nić tajemnicza otrzymała dwa węzły widome w postaci dwojga dziatek, Romcia i Jadwisi, które były odbiciem rodziców. Córeczka wypadła z oka matce, synek ojcu.

Przy śniadaniu rozmowa toczyła się głównie o balu i właścicielach Żurawki, którzy bal dawali. Przy tej sposobności niewtajemniczeni w stosunki sąsiedzkie mogli się byli dowiedzieć że pan Armatowicz, skończywszy w pocie czoła budowę pałacu, do czego żona go nakłoniła, postanowił poświęcenie swojej rezydencji uczcić wspaniale i w tym celu dawał bal dla całego sąsiedztwa. Ponieważ państwo Zapolscy należeli do ludzi dobrze wychowanych, więc w ich domu nigdy o nikim źle nie mówiono. O panu Armatowiczu wyraziła się gospodyni, że jest to człowiek bardzo pracowity i oszczędny, a o jego żonie gospodarz wspomniał od niechcenia, że jest to osoba nadzwyczaj przyjemna i wesoła. Ze sposobu prowadzenia rozmowy, jak nie mniej z rozkazów służącemu wydawanych, można było poznać dość wielką niecierpliwość pani Celiny, gdy przeciwnie pan Roman był ciągle spokojny, jakby się urodził nie mężczyzną, lecz kobietą, dla której wyrozumiałość i cierpliwość powinne być głównemi życia zasadami.

Małomowność gospodarza domu zmieniła się prawie w gadatliwość, gdy po śniadaniu, wziąwszy z sobą młodych ludzi, poszedł im pokazywać swoje konie, psy, dzikie zwierzęta, które w klatkach trzymał i różne przyrządy myśliwskie. W stajni było kilka wierzchowców wspaniałych; psiarnia podzielona na pięć oddziałów, miała wszystkie rodzaje psów łowieckich, począwszy od jamników, a skończywszy na mięszańcach po wyżle i wilczycy, z których dwa brały zawsze największego odyńca; nakoniec w zwierzyńcu były dwa lisy, jeden żbig, który idąc prawdopodobnie za kotem domowym, zaszedł nieostrożny aż na strych leśniczówki i tam żywcem został złapany; kilka kun, a w klatkach siedział jeden orlik karpacki i dwa puhacze wielkości niepospolitej. Widok puhaczów sprawiał panu Zapolskiemu szczególną przyjemność. Starając się by zwierzyna i ptactwo rozmnażały się w jego okolicy, tępił on jastrzębie z wielką wytrwałością, w czem puhacze oddawały mu niemałe usługi. Każdej jesieni, gdy jastrzębie zbierając się do odlotu, wszczynały nad lasami swoje nawoływania piskliwe i złowrogie, Zapolski wynosił pod las na drążku puhacza, sam zaś chował się do budki obok stojącej. Jastrzębie widząc puhacza, uderzały na niego z całą zaciekłością nieprzyjaźni obcorasowej, a pan Zapolski, korzystając z tej ich nienawiści, strzelał jednego po drugim. Tym sposobem każdej jesieni bił po kilkadziesiąt jastrzębi.

Naopowiadawszy się do syta rozmaitych przygód myśliwskich i pochwaliwszy każdego psa z osobna, gospodarz wśród skowyczenia ogarów, które go wzrokiem odprowadzały, wracał do domu, gdy na podwórzu zaszedł mu drogę strzelec.

— Cóż powiesz Karolu?

— Proszę jaśnie pana mamy krzyki.

— Gdzie?

— Na moczarze koło łąk Żurawki.

Panu Zapolskiemu oko ogniem błysło.

— A one zkąd się u nas wzięły?

— Wczoraj polowali w Żurawce ci panowie, co się już na bal zjechali, ale że zamiast zabijać, tylko straszyli, więc krzyki wszystkie do nas się przeniosły.

Pan Zapolski spojrzał na słońce.

— Najlepsza pora — rzekł — przypieka, krzyk będzie wytrzymywał jak przykuty. Idź, weź strzelbę — dodał do strzelca się obracając — i na mnie poczekaj.

Wytłumaczywszy się przed młodymi gośćmi, którzy nie tylko za złe mu tego nie wzięli, lecz nawet byli uszczęśliwieni okolicznością, która im pozwalała z paniami swobodniej rozmawiać, pobiegł do swego pokoju, przebrał się

i w kilka minut był gotów do wychodu. Już ładownicę przypiął i strzelbę przez plecy przerzucił, gdy niespodzianie żona weszła. Drzwi otworzywszy, zatrzymała się na progu zdziwiona.

— Romciu, a ty gdzie?

— Nigdzie aniołku... skoczę na chwilę, żeby zabić kilka krzyków.

— Romciu, zastanów się, masz przecie gości.

— Powidlaki! obejdą się bezemnie.

— Nie zapominaj także, że dziś mamy być na balu.

— I cóż to przeszkadza? Przecie nie zabawię dłużej jak dwie godziny, dosyć zatem będę miał jeszcze czasu, aby się we frak rzucić.

— Nie, mój Romciu, tego polowania już za wiele. Jeżeli nie przy gospodarstwie, pewnie na polowaniu, a dla mnie nie masz jednej chwilki.

— Fanaberje Cesiu, nic więcej! Ot nie przeszkadzaj mi lepiej, bo mi gotowe krzyki pouciekać.

— A gdybym cię nie puściła? — zapytała żona tonem nie tyle może żartobliwym co stanowczym.

— W takim razie najpierw bym cię pocałował — rzekłszy to w rzeczy samej ją pocałował — potem zaś powiedziałbym: do widzenia! i poszedł bym wbrew twojej woli.

Przy ostatnich słowach łagodnie żonę od drzwi odsunął, i zanim pani Celina mogła pojąć co się stało, był już na drodze.

Młoda kobieta z gniewu drobnemi ząbkami zgrzytnęła.

— Od pięciu lat walczę z tą jedyną jego namiętnością, a pokonać jej nie mogę. Ale ja go przełamię, ja go muszę złamać! Przekona się, że ja mam wolę. Tego co złe, nigdy nie chcę, lecz co dobre, on musi chcieć razem ze mną! Przekona się czy mu ustąpię!

Rozdrażniona, blada, poszła do swego pokoju.

## IV.

Podczas gdy pan Zapolski strzela do krzyków, panienki zajmują się toaletami, a danserowie chodząc po ogrodzie i napróżno wyglądając piękności, które im z oczu znikły, udają, że się bawią, a pani domu dąsa się w swoim buduarze — najlepiej zrobimy, jeżeli korzystając z tego rozbicia mieszkańców dworu w Przyboczy, rzucimy okiem w przeszłość, aby poznać szczegóły, mające związek z dalszem opowiadaniem.

Ojciec pana Zapolskiego, bogaty szlachcic na Ukrainie, po stracie żony, którą nie kochał, lecz ubóstwiał, przeniósł się na stałe mieszkanie na Pokucie, w dolinę Prutu, o której jak o ziemi obiecanej można śmiało powiedzieć, że płynie mlekiem i miodem. Mając prócz ziemi, którą na Ukrainie puścił w dzierzawę, dosyć także gotówki, rodzina bowiem jego była z dawien dawna zasobna i gospodarna, kupił dość piękną majętność Przyboczę i oddał się wychowaniu syna, Romana, którego mu nieboszczka żona zostawiła. Ale jakie to było wychowanie! Przedewszystkiem uczył syna jeździć konno, dobrze strzelać i bić się na szable, i dopiero gdy chłopak dobrze już podrósł, czyniąc ustępstwo wymaganiom czasu i społeczeństwa, które coraz więcej odbiegało od tradycyj staroszlacheckich, wziął do domu dwóch nauczycieli, jednego Polaka, drugiego Francuza, aby pana Romana, któremu tymczasem już i wąsik się zasiał, przecie czegoś nauczyli. Chłopcu książka nie bardzo smakowała, wolał on zawsze konika i fuzyjkę; wszakże mimo tej niechęci, dzięki niezmordowanej pracy obu nauczycieli, jak to mówią przecie coś połapał. W każdym razie umiał nie źle historję, geografję, literaturę polską nawet dosyć lubił i po francusku mówił wcale poprawnie. Tyle zyskał od nauczycieli. Od ojca, prócz umiejętności jeżdżenia konno, strzelania i bicia się na szable, otrzymał jeszcze bardzo jasne i surowe pojęcie o tem, co jest honor, nie mniej naukę, jak powinien postępować człowiek prawdziwie zacny. Już to jeźli prawdę mamy powiedzieć, ojciec nie potrzebował tych rzeczy uczyć jedynaka; wystarczało bowiem jeżeli się syn ojcu przypatrywał. Pan Zapolski należał do tych nielicznych karmazynów, którzy mimo, iż się urodzili przy końcu wieku ubiegłego, nie mieli w sobie nic z tego zepsucia, które charakteryzowało czasy ówczesne. Jakby wyrósł wśród świata innego, miał zdrowe wyobrażenie o swoich obowiązkach i przez całe życie na krok nie odstąpił od surowych zasad honoru. Z tego też powodu miał nie jedno do zniesienia, ale wszystko zniósł mężnie i nie ugiął się ani na chwilę. Syn szedł za przykładem ojca.

O kilka mil od Przyboczy mieszkał hrabia D. niegdyś pan zamożny, teraz z powodu rozrzutności dwóch pierwszych żon, z któremi się kolejno porozwodził i własnego zamiłowania do gier hazardowych, magnat na pół zbankrutowany. Mając lat przeszło pięćdziesiąt, a nie zaznawszy szczęścia domowego, do którego całe życie wzdychał, pierwsze bowiem żony dzieci mu nie zostawiły, poślubił pewną artystkę dramatyczną, którą poznał w Warszawie, osobę młodą i nadzwyczaj piękną. Gdy hrabia już żonaty do Galicji powrócił, wszyscy mieli na ustach jeden okrzyk oburzenia. Do koła odzywały się tylko dwa słowa:

— Jaki skandal!

Hrabia jednak nie wiele sobie robił z tych głosów nieprzyjaźnych. Przekonawszy się, że żona jego była kobietą cnotliwą i wdzięczną mu za to, iż ją wyrwał w czas jeszcze z tego koła zaklętego, które zawracając głowy rozmarzone, gubi prawie wszystkie dusze, jakie raz w nie wpadną; widząc nadto, że zapomniawszy o zabawach, oddaje się prawie z namiętnością wychowaniu córeczki, która im do roku na świat przyszła, nie dbał więcej o sądy ludzkie i nigdy nie zapytał, co świat o nim mówi. Dalsi i bliżsi krewni hrabiego po tym mezaljansie zerwali z nim zupełnie, a kochani sąsiedzi, idąc w tem za przykładem magnatów, chcieli także z góry spoglądać na aktorkę. Hrabina nigdy się nie poskarżyła, lecz mąż widząc to, wycofał się sam ze wszystkich towarzystw sąsiedzkich,

czem okolicę najbardziej ukarał. Na kilka mil w koło, z wyjątkami bardzo małemi, mieszkali w tych stronach sami bogaci Ormjanie, którzy mimo iż herbów nie mieli, bawili się w arystokrację rodową. Bądź co bądź tytuł hrabiowski, miał dla nich zawsze urok niepospolity, to też jak hrabia D. wycofał się z ich towarzystw, z natury długie ich nosy jeszcze dłuższe się zrobiły. Oni pragnęli mu dać uczuć, że jego małżeństwa nie pochwalają, lecz stracić go nie chcieli. Tymczasem on im figla wypłatał, wszystkim figę pokazując. (C. d. n.)

---

## Złamane Serca.

### Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

(C. d.) Chciał naprzód postąpić, i rzucić się na Czudka, który za szerokiemi plecami pana Franciszka bezpiecznego szukał schronienia, lecz w tejże chwili chwycił się oburącz za piersi, na sinych ustach pokazała się struga krwi czerwonej, zachwiał się i upadł na posadzkę. Adwokat i jego pomocnik stali nie tyle przerażeni, co zdziwieni.

Na łoskot ciała padającego, zbiegli się dependenci z przyległego pokoju. Czudek widząc, że Juljan z trudnością z ziemi się podnosi, przywołał służącego, kazał mu natychmiast sprowadzić dorożkę, a sam obracając się do p. Franciszka, rzekł:

— Nie dziwota... suchotnik jak jego matka. Odwieź go pan do domu. Zdaje mi się, że kryminału nie doczeka.

Powiedziawszy to, poszedł do swojej sypialni i na klucz się zamknął. Po takich wrażeniach, morfina okazała się niezbędną. Juljan podtrzymywany przez Storcha, który jeszcze nie wiedział co się stało jego przyjacielowi, i przez pana Franciszka, zszedł na dół i do domu odjechał.

W godzinę po tym wypadku, w mieszkaniu dra Czudka cisza panowała. Pisarze rozeszli się do domów, Marcin pobiegł z listem do dra Ragnera. W liście adwokat zwiastował przyjacielowi i spólnikowi nader miłą nowinę, że sama Opatrzność zlitowała się nad nimi, bo zabiera Rossowskiego do swojej chwały. Czudek napisał list z wielką fantazją, humorystycznie, aby ubawić i pocieszyć Ragnera, który w ostatnich dniach był trochę niespokojny i rozdrażniony. Po wyjściu Marcina, adwokat jak według zwyczaju zaczął przechadzać się po salonie, z rękoma w tył założonemi.

Zadzwoniono. Wychodzi, otwiera, i widzi przed sobą postać wysoką, suchą, długą i brzydką, jakiej w życiu swojem nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać.

— Pan jesteś dr. Czudek? — zapytał nowoprzybyły łamaną niemieczczyzną.

— Do usług — odrzekł adwokat, patrząc na nieznajomego, jak na wierzchołek drzewa.

Usłyszawszy to nowoprzybyły, przeszedł krokiem mierzonym i poważnym przedpokój, a znalazłszy się w salonie, usiadł, nie czekając na zaprosiny. Czudek stał nieopodal, niemogąc wyjść ze zdumienia.

— Ile panu winien pan Juljan Rossowski? — zapytał gość tajemniczy, wpatrując się uporczywie w twarz gospodarza.

— Ile mi winien pan Rossowski? — powtórzył adwokat. — Zaiste! nie pojmuję

— Jeszcze raz pytam, ile panu winien?

— On... nic... on mi nic nie winien.

— Nie kłam! — zawołał nieznajomy głosem stanowczym, od którego gospodarz jak liść zadrzał.

— Winien mi — zaczął bełkotać — wszystkiego razem ośm tysięcy siedmset guldenów.

— Dobrze... a teraz podpisz pan to natychmiast! — rzekł gość, podając adwokatowi arkusz papieru zapisanego.

Było to podanie do sądu, w którym podpisany oświadczał, że pan Juljan Rossowski zaspokoił wszystkie jego pretensje.

— Ja mam podpisać? — szepnął przeczytawszy.

— Natychmiast! — brzmiała krótka ale niemniej stanowcza odpowiedź.

— Zaiste, nie rozumiem — tłumaczył się Czudek — zkąd ja do tego przychodzę. Pan się zapominasz — dodał zbierając odwagę — i wydajesz mi rozkazy w moim własnym domu... ja zaś do tej chwili nawet nie wiem, z kim mam honor.

— Dowiesz się pan potem. Teraz podpisz!

— A gdybym nie chciał?

Nieznajomy powstał flegmatycznie, z pod surduta wyjął rewolwer kieszonkowy, a obracając jego lufkę do Czudka, rzekł:

— Jak zaraz nie podpiszesz, w łeb!

— Ale podpiszę, podpiszę — odpowiedział adwokat drżąc jak liść osiczyny — przecie ja uparty nie jestem... Ja tylko tak sobie żartowałem... zaraz podpiszę.

Usiadł, podpisał i dokument oddał gościowi. Wtedy ten wyjął pieniądze, odliczył najpierw ośm banknotów po 1000 guldenów, potem siedm po sto, a rzucając je na biurko, rzekł:

— Masz rzezimieszku!

Czudek ujrzawszy pieniądze, których się nie spodziewał, łypnął radośnie oczyma. Wprawdzie byłby wolał, aby plan jego co do Juljana został w zupełności przeprowadzony, ale kiedy wypadek tak zrządził, że w obronie Rossowskiego wystąpił teraz człowiek, mający nie tylko pieniądze, lecz także rewolwer ostro nabity, więc dzięki Bogu, że się na tem skończyło. Z Juljanem —

pomyślał adwokat, — da sobie radę sama Opatrzność.

Nieznajomy wychodząc, rzekł:

— Jeżeli panu Rossowskiemu, lub państwu Wybickim będziesz jeszcze czemkolwiek szkodził, daję ci słowo honoru, że dostaniesz kulą w łeb! A jeżeli chcesz mnie za tę pogróżkę zaskarżyć, to pamiętaj, że nazywam się Wiliam Ellington, i jestem starszym inżynierem Brassaya, który buduje kolej Czerniowiecką.

Wycedziwszy to słowo po słowie wyszedł. Czudek stał z oczyma wytrzeszczonemi i gębą otwartą.

## XXV.

A więc to był sir Wiliam Ellington! A więc Wandzia nie omyliła się ongi, gdy idąc z ojcem i narzeczonym, zdawało jej się, że go koło Wałów widziała! Tak jest, to był on, w swojej własnej osobie, i jakkolwiek pojawienie się jego we Lwowie, nie jednemu z naszych czytelników może wydać się rzeczą nadzwyczajną, wymarzoną w głowie autora, my to nazwiemy zjawiskiem bardzo naturalnem; żadne bowiem nadzwyczajności roli w niem nie odegrały. Pamiętajmy, że przestrzenie, które niegdyś ludzi przerażały, dziś nie istnieją: para i elektryka, z olbrzymiego przed wiekami globu, zrobiły nie wielką kulę, którą żywe słowo obiega w ciągu kilku godzin, a którą odważny podróżnik objeżdża w dniach kilkudziesięciu. Narzeczeni, wyjeżdżając z Londynu do Kalkuty lub Bombaju, mówią przy pożegnaniu do krewnych i przyjaciół: Odwidźcie nas w Indjach! — a ci przyrzekają uczynić to przy najbliższej sposobności. Kalkuta stała się dziś niby oddalonem przedmieściem Londynu.

W kilka miesięcy po wyjeździe naszych przyjaciół z Patna, wybuchła w Kalkucie żółta febra, która między licznemi ofiarami, zabrała całą rodzinę Ellingtonów. Zostali się tylko sir Wiliam, który wtedy mieszkał w Patna i starsza jego siostra, która na kilka lat przed śmiercią rodziców wyszła była za kupca do Londynu. Na nich też dwoje spadł cały mająteczek ojca, wynoszący kilka tysięcy funtów, którego master Ellington dorobił się w Indjach w pocie czoła.

Wiliam, który po wyjeździe Wandzi i jej ojca bardzo posmutniał, otrzymawszy teraz wiadomość o śmierci rodziców, rozchorował się obłożnie, tak że kilka tygodni był między życiem a śmiercią. Wyzdrowiawszy, usiłował w charakterze inżyniera rządowego przenieść się do Europy, ale gdy minister wicekróla dał mu odpowiedź odmowną, rozgniewany podziękował za służbę, i nie namyślając się, odpłynął do Londynu. On nie mógł dłużej żyć w Indjach, gdzie teraz nie miał nikogo — nikogo! Sir Wiliam nie był czystej krwi Anglikiem, dla którego *biznes* jest wszystkiem, alfą i omegą marzeń, ostatecznym celem, do którego całe życie dąży. Wszak sam mówił o sobie, że w piersi swojej ma serce nie-angielskie. Otóż, zamiast żyć w Patna, gdzie mu wszystkie twarze były obce, wolał wrócić do siostry, odetchnąć powietrzem ojczystem, a potem bądź w Londynie się osiedlić, bądź w innych krajach Europy szukać szczęścia w przedsiębiorstwach. Dla inżyniera, zwłaszcza mającego jaki taki mająteczek, przed laty ośmnastu cała Europa stała otworem. Czy Wiliama nie skłoniła do powrotu między innemi także nadzieja, że może gdzie przypadkiem Wandzię zobaczy, tego twierdzić nie możemy, on sam bowiem bał się o tem myśleć. Jeżeli miał taką nadzieję, była ona ukryta tak głęboko na dnie jego serca, że jej tam pewnie nikt by nie dojrzał, a tem mniej on sam przed nikiem by się z nią nie zdradził.

Przyjechawszy do Londynu, nie zabawił tam długo. Właśnie w owym czasie wielki przedsiębiorca Brassay, budujący koleje na kontynencie, szukał kilkudziesięciu zdolnych inżynierów, z których część miała zająć się budową drogi żelaznej ze Lwowa do Czerniowiec. Sir Wiliam usłyszawszy, że mu się nadarza dobra sposobność zwidzenia ojczyzny Wandzi, i przekonawszy się, że warunki przez Brassaya podawane, są korzystne, prawie świetne, nie namyślał się ani godziny i przyjął ofiarowaną mu posadę. Tym sposobem prędzej, niż którykolwiek z moich czytelników mógł by się tego domyśleć, sir Wiliam Ellington, który ongi strzelał do tygrysa nad Gangesem, znalazł się w sposób prosty i naturalny nad brzegami nie bardzo romantycznej Pełtwy.

Prócz języka angielskiego, sir Wiliam umiał wcale dobrze po francusku i włosku, a w ostatnich latach uczył się jeszcze po niemiecku. Jako inżynier, potrzebował władać głównemi językami. Dzięki tym zdolnościom lingwistycznym, nie był we Lwowie jak inni jego koledzy, którzy tylko po angielsku mówili, osobą dla ogółu niezrozumiałą, na którą patrzą wszyscy jak na dziwoląga; z kim chciał, zawsze się rozmówił, i to mu życie w wysokim stopniu uprzyjemniało. Pracował po dniach całych, wieczorami zaś siedział najczęściej sam jeden i dumał. Czasami badał karty geograficzne, a wtedy najdłużej przypatrywał się temu miejscu, gdzie było napisane „Radom“. Mając dobrą pamięć nie zapomniał, że pan Wybicki wrócił w okolice Radomia, gdzie miał majątek rodzinny! Co się wtedy działo w duszy młodego człowieka, trudno odgadnąć. Zawsze w sobie zamknięty, nie zdradził się ani jednem westchnieniem...

Raz idąc do adwokata, którego rady zasięgał w kilku sporach i burdach, które dość często

wydarzały się między jego robotnikami, ujrzał w mieście pannę Wandę Wybicką. Poznał ją zdaleka, na kilkaset kroków, i może pierwszy raz w życiu, tracąc krew zimną i przytomność, musiał zatrzymać się, by odetchnąć. W pierwszej chwili chciał pospieszyć na jej spotkanie, lecz pomyślawszy, że jej to może przykrość sprawi, zatrzymał się na dawnem miejscu. Ale mimo, że tego dnia zachował się z całą delikatnością człowieka uczuciowego, nie przestał robić stosownych poszukiwań. Wkrótce też dowiedział się dokładnie, co pana Wybickiego do Lwowa sprowadziło, gdzie mieszka, i jakie są jego stosunki. W mieście tak małem jak Lwów, wszyscy się znają, a obcymi każdy się zajmuje. Wiliamowi dopomogli także jego koledzy i znajomi, zajęci przy kolei Karola Ludwika, ci bowiem wiedzieli, że pan Wybicki starał się o posadę.

Zbierając szczegół po szczególe, w ciągu kilku tygodni miał wszystko jak na dłoni. Czy potrzebujemy teraz mówić, że to on zasłonił Wandzię, gdy ją nocą napadł żołnierz pijany; że to on przysyłał im pieniądze w chwilach najkrytyczniejszych; że to on kupował ze swymi przyjaciołmi obrazy w magazynie Juljana, słowem, że to on, sir Wiliam Ellington, był tym duchem opiekuńczym, który jak mógł, czuwał nad swoimi przyjaciołmi, pragnąc im szczęście zapewnić. Niegdyś, gdy Wandzia nieprzyjęła jego ręki, prosił ją, by go uważała za brata. Mimo że mu serce pękało, postanowił zostać jej bratem i przyjacielem najwierniejszym, i dla tego chciał, by Wandzia wyszła za Juljana i była szczęśliwą. W tajemniczości, jaką się otaczał, znajdował prawdziwą przyjemność. Może pod tym względem był tylko podobnym do Anglików, lubiących niezwyczajność, a może znając siebie i swoje przywiązanie do Wandzi, wiedział, że widując ją obok narzeczonego zakochaną, rozmarzoną, nie mógł by tak łatwo panować nad swojem uczuciem, jak teraz, gdy ich zaledwie przelotnie i zdaleka widywał na ulicy. Cokolwiek bądź, sir Wiliam unikał ich bacznie. Dopiero katastrofa z Juljanem miała rozerwać zasłonę tajemniczości.

Anglik wiedział już oddawna, jakie stosunki zachodzą między Rossowskim i Czudkiem, wszystko bowiem opowiadał mu w zaufaniu i w najpiękniejszych zamiarach, ten sam adwokat, którego sir Wiliam poznał wkrótce po przyjeździe do Lwowa, a który szczęśliwym zbiegiem okoliczności, prowadził teraz dla Rossowskiego sprawę testamentu ś. p. Czarkowskiego. Wypadek zrządził, że właśnie tej godziny, gdy Juljan pomięszany wybiegł od adwokata, aby jak najprędzej z Czudkiem się zobaczyć, sir Wiliam przyszedł także do adwokata po dalsze szczegóły. Usłyszawszy, jak rzeczy stoją, poprosił go by niezwłocznie napisał kwit stosowny, poczem pospieszył także do Czudka, lecz ponieważ nie życzył sobie spotkać się z Rossowskim, czekał więc na chodniku przed kamienicą, póki ten nie wyjdzie. Gdy biednego młodzieńca prawie na rękach znieśli do dorożki, Anglik przerażony w mgnieniu oka znalazł się na górze. Co potem nastąpiło, dobrze pamiętamy.

Z dokumentem w kieszeni pojechał niezwłocznie do domu, w którym Juljan mieszkał; nie wszedł jednak do pokoju, lecz w sieni czekał, ażali się kto nie zjawi. Na szczęście pierwszą osobą która wyszła, był Storch. Pamiętał on dobrze żółtego Anglika, który w magazynie nie raz obrazy kupował, to też zadziwił się niemało, gdy go ujrzał w tem miejscu, a zdumiał się, gdy z jego ust usłyszał zapytanie:

— Jak się ma pan Rossowski?

— Nie najlepiej — Storch odpowiedział, robiąc oczy coraz większe.

— Niech to pana nie dziwi — rzekł sir Wiliam — że nieznajomy pyta o niego... są rzeczy, które dopiero później się wyjaśnią... Tymczasem weź pan ten oto papier, z którego pan Rossowski przekona się, że jego honor został ocalony... może to korzystnie wpłynie na jego zdrowie. Jako człowieka honoru muszę pana jednak prosić, byś mu ani jednem słowem o mnie nie wspominał. Potrzebne to dla jego dobra... Niech myśli, że to wszystko z nieba spadło. Jeszcze jedno słowo. Czy pan Wybicki wie, co spotkało pana Rossowskiego?

— Jeszcze nie wie — odrzekł Storch, nie mogąc wyjść ze zdumienia. — Ja i służący tak jesteśmy chorym zajęci, że nie mieliśmy czasu uwiadomić ich o tem nieszczęściu.

— Jeżeli tak, więc ja to wezmę na siebie.. a pan nie odstępuj chorego.

Rzekłszy to, długi Anglik szybko się oddalił; Storch w ręku dokument trzymając spoglądał ciągle przed siebie, jakby śnił i bał się ze snu obudzić.

W chwili tak ważnej, wśród nieszczęścia tak wielkiego, zacny cudzoziemiec osądził, że należy położyć kres tajemniczości, i do tych pospieszyć, których dobro obchodziło go więcej jak własne. Nie sztuka być przyjacielem w szczęściu — największa zasługa dochować przyjaźni wśród tak ciężkich okoliczności.

Nie będziemy opisywali zdumienia, gdy na progu mieszkania naszych przyjaciół pojawił się sir Wiliam Ellington; rzucimy równie zasłonę na boleść, jakiej doznała Wandzia usłyszawszy, że jej narzeczony nagle zachorował. W południe przyszedł do nich na chwilę, lecz taki był smutny i rozdrażniony, że nie miała odwagi zapytać go o powód tej zmiany. Potem wyszedł i więcej nie wrócił. Usłyszawszy teraz od Wiliama, że Juljan chory, stanęła przerażona, albowiem okiem

duszy przejrzała przyszłość całą. To niespodziewane zjawienie się człowieka, którego zostawiła innej świata części, to, że on znał jej stosunki i nad nimi czuwał, nareszcie że Juljan nie był mu obojętnym, i że pierwszy miał ją uwiadomić o jego słabości, było dla jej duszy wrażliwej jakby zapowiedzią czegoś nowego a strasznego. Przeczucie jej mówiło, że tylko wypadkom nadzwyczajnym, towarzyszą tak nadzwyczajne okoliczności.

Łez w jej oczach nie było, jęku usta nie wydały, jeno bladość twarzy i wzrok prawie obłąkany, który w mówiącego Anglika wlepiła, świadczyły o tem co się działo w jej duszy...

## XXVI.

W pokoju wysokim i przestronnym, w którym wszystko jeszcze świadczyło, że ten, kto w nim niedawno zamieszkał, dopiero zaczął się urządzać, na łóżku w rogu stojącem, leżał Juljan. Od przyjazdu jego do domu nie minęła jeszcze doba cała, a wybuchy krwi powtórzyły się już siedm razy z rzędu. Wandzia przyjechawszy z ojcem w kilka minut po widzeniu się z sir Wiliamem, nie opuściła go na chwilę, i od dwudziestu godzin jak prawdziwa siostra miłosierdzia niosła mu pomoc i otuchy dodawala. Storch i p. Wybicki siedzieli nieopodal, a dwaj lekarze, z których jednego Storch sprowadził, drugiego Anglik przysłał, czynili nadludzkie wysilenia, aby odpływ krwi powstrzymać. Nakoniec przecie im się to powiodło.

Juljan blady, z twarzą zapadniętą, tak go wymęczyła w ciągu jednej doby ta choroba gwałtowna, siedział na łóżku, ze wszystkich stron poduszkami podparty, i okiem pełnem, szklącem, wpatrywał się w narzeczoną, która uszczęśliwiona chwilowem jego polepszeniem, udając wesołość, uśmiechała się do niego, mimo że jej serce kurczyło się pod naciskiem bolu.

— Będzie dobrze, panie Juljanie — mówiła. — Ręczę, że do dwóch, trzech dni będziesz pan zdrów jak ryba. Tylko trzeba spokoju! Musisz mnie więc słuchać bezwarunkowo!

— O! będę, będę słuchał! — odrzekł chory biorąc ją za rękę, aby ją do ust podnieść!

— Tylko bez tych poruszeń gwałtownych, panie Juljanie! Wolę sama rękę panu podać...

I dotknęła się ręką jego ust rozpalonych, a on ją całował, długo — gorąco.

— Obecność twoja, panno Wando — szepnął — zbawiennie wpłynie na moje zdrowie, i jeżeli mnie nie opuścisz, nie wątpię, że do dni kilku zupełnie wyzdrowieję! Gdyby nie ta krew, której prawdopodobnie muszę mieć za wiele, to czuję się tak dobrze, że nie wahałbym się zaraz wstać z łóżka.

— Byle nie zbyt prędko, panie Juljanie — odrzekła — bo byś sobie mógł tem zaszkodzić. Trzeba słuchać lekarzy i mnie! — dodała figlarnie palcem mu grożąc. — Przecie dziś zależysz pan nie tylko od siebie, bo i nie dla siebie jednego żyjesz.

— Prawda, prawda Wandziu... ja żyję, i chcę żyć przedewszystkiem dla ciebie!

Nie obraziła ją ta poufałość, przeciwnie twarzyczka pięknej dziewicy rozweseliła się teraz wesołością więcej naturalną, i chyba rumieniec, który na niej zakwitł, i oczy ku ziemi spuszczone zdradzały, że Juljan pierwszy raz dopiero ty jej powiedział!

— Wiesz pan com zrobiła? — zaczęła po chwili znowu mówić. — Oto siebie i ojca sprowadziłam do tych ostatnich pokojów, które kazałeś pan wyrestaurować, ponieważ zadaleko by nam było chodzić do pana, a chorego przecie się nie godzi zostawiać na łasce jednego sługi, choćby zresztą tak nawet wiernego jak Wojciech.

Juljanowi wzrok się rozpromienił.

— Więc uczyniłaś, o co chciałem cię prosić, lecz nie śmiałem... Dzięki ci, Wandziu dzięki!

I dwie łzy duże pojawiły mu się w oczach. Wandzia musiała dobyć sił wszystkich, aby się w głos nie rozpłakać.

Podczas gdy narzeczeni tak z sobą rozmawiali, jeden z lekarzy, człowiek już siwy, i o ile z zachowania się jego można było wywnioskować biorący swój zawód bardzo sumiennie, wziął pana Wybickiego pod ramię i poszedł z nim do pokoju przyległego.

— Niech mi pan dobrodziej za złe nie weźmie — przemówił — jeżli prawdy nie będę w bawełnę obwijał. Widząc, że ten młody człowiek pana dobrodzieja z bliska obchodzi, poczuwam się do obowiązku uprzedzenia pana, że z nim źle...

— Źle? — powtórzył p. Wybicki machinalnie, oddech wstrzymując.

— Nawet bardzo źle... on żyć nie będzie.

— Konsyljarzu! co mówisz?

— Niestety, mówię prawdę! Już tyle krwi utracił, płuca jego tak są zaatakowane, i cały organizm do tego stopnia wstrząśnięty, że ratunku nie widzę dlań żadnego. Tu chyba jeden cud mógłby pomódz.

— Konsyljarzu! przecie to człowiek jeszcze młody, pełen sił.

— Tem gorzej dla niego, że młody... gdyby był starszy, możnaby go łatwiej ocalić. W dodatku mamy marzec. Straszny to miesiąc dla suchotników.

— Więc pan sądzisz, że on ma suchoty? — zapytał pan Wybicki dopiero teraz przerażony.

— To najmniejszej nie ulega wątpliwości — odparł lekarz. — Nie miałem czasu badać, lecz zdaje mi się że musi pochodzić z takich rodziców. Szczęście jeszcze jego, że dotąd wiódł życie skromne, inaczej byłby już dawno pożegnał się

z tym światem. Teraz musiało mu zaszkodzić jakieś wstrząśnienie gwałtowne, które potargało mu w płucach naczynia krwionośne.

Pan Wybicki wysłuchał tych słów okropnych, jak własnego śmierci wyroku. Juljana kochał on miłością podwójną: raz jak syna własnego, drugi raz jak człowieka zacnego, który miał stanowić całe szczęście jego jedynaczki. Tymczasem wśród marzeń najpiękniejszych, w chwili, gdy wierzyć zaczynał, że Bóg zmiłował się już nad nimi, spadał na nich cios nowy i nie mniej straszny jak każdy z dotychczasowych!

Przyłożywszy głowę do szyby, stał przeszło pół godziny aby zebrać odwagę, która go opuściła. On bał się, by Wandzia z wyrazu jego twarzy nie domyśliła się okropnej tajemnicy, która wkrótce miała być rzeczywistością. Był pewny, że się uspokoił, tymczasem gdy wszedł do sypialni chorego, mimo, że obojętność, nawet wesołość udawał, bystre oko Wandzi, które ojca od dawna wyglądało, wdarło się przemocą do jego wnętrza, aż tam, gdzie smutna prawda była ukryta, i odczytało ją niestety!... Z obecnych nikt się atoli nie domyślił, co się działo w sercu biednej Wandzi. Mówiąc do Juljana była ciągle uśmiechnięta, jakby wesoła... (C. d. n.)

---

# DRUHY.

NAPISAŁ BOHDAN.

(C. d.) Tymon potrząsł głową.

— Nie!.. nie w mogiłach!.. Ona po chatach, po siołach, po chutorach, po stepach naszych śpi!..

Bratci, nie wstawać nam póki ona się nie zbudzi... póki nie zbudzi się na wszej Ukrainie, tak jak zbudziła się tu w was!...

Czterdziestu was chłopcy, to cóż jest?.. nic!.. Ale niechaj z każdego sioła przyjdzie tylu, niechaj z każdej chaty wyjdzie taki jak ty Iwane... tody... tody!... będzie siła i sława, i wola ta co przed wieki... A póki szczo, żdajmo!...

— A pókiż nam żdaty? dokąd ona, ta siła nasza spać będzie? — chmurnie spytał parobek.

— Szcze rano... — odparł Tymon.

— A to rano dokądże?... Może ona, ta siła nasza ciężko, twardo zasnęła... Moż jej tak spać do wieka, a nam do wieka w wrażem jarzmie chodzić... Chybaż zbudzim!

Tymon długo się zamyślił. aż ciemne brwi zeszły mu się na czole.

— Skazaweś prawdu mołojcze... Trzeba budzić i zbudzić!...

Głucha cisza zapanowała w gromadzie — po maleńku umysły wzburzone zaczęły się uspokajać... Po buncie stanęła rada.

Radzono, gadano, kiwano głowami, siedziano do wieczoru, aż uradzono, że:

— Mocą niema co.

Jeden ze starszych gospodarzy odezwał się w końcu:

— Panowie gromada, batki, staryki, i wy panowie mołodcy!... Posłuchajcie szczo ja wam... Ja myślę, my wszyscy tak jak tu jesteśmy, z kobietami i z dziećmi, jutro skoro świt, o żinkę Tymonową u grafa prosić chodźmy, odda, to my ją tu gromadą przywiedziem — nie odda, wrócim, tąż radę oddamy parobkom. Niechaj oni po swojej woli i mocy idą ją odbierać... Wtedy już co będzie, to będzie!... darmo.

— Dobre każe...

Karp miał głos nie tylko w siole, lecz w okolicy całej „dobrze każe!“ powtórzyli wszyscy.

Uradzono że:

— Jutro w imię Boże...

## III.

Inaczej chciały losy, jak radzili ludzie. Jeszcze szary ranek nie zaświtał nad ziemią, kiedy zapukano do okna chutoru.

— Karpe, Karpe!

Zerwali się Karp z Tymonem.

Za oknem stał wyrostek kozaczek w dworskiej barwie.

— Czego ty Wasia? — spytał stary.

Chłopiec milczał, patrząc na Tymona.

— Czego ty po nocach włóczysz się, ludziom pokoju niedajesz?

— Ludzie śpią — szepnął chłopiec — a licho nie śpi... tylko, tylko co przejechało — wskazał na drogę wiodącą mimo sioła i ciemne cienie posuwające się po niej

— Co to? — spytał stary.

— Graf...

— Gdzie on?

— Do Warszawy...

— Z nią?... — Chłopiec podrapał się po głowie.

— Ni, ona została.. tylki...

— Co z nią?!

— Tylki... — kończył zwolna kozaczek — z nią baczyte, nieszczastie... umarła...

Karp za głowę się schwycił.

— Breszesz Wasia...

— Bihme ne breszu...

Karp obrócił się twarzą do Tymona. On stał spokojny, łagodny, w bladej jak śmierć twarzy jego ani jeden rys nie drgnął — w oku nie zabłysła łza jedna...

Nie zapłakał teraz, nie zapłakał później, kiedy rankiem sioło całe się zbiegło i nad nim płakało — nie zapłakał nawet wtenczas, kiedy z szerokich, pałacowych podwoi, wyniesiono prostą, z czterech desek zbitą domowinę... Spokojny powlókł się za nią na kładowiszcze, patrzał w dół wykopany obok grobu matki jego... pierwszy rzucił garść ziemi na wieko trumny, i stał wyprostowany póki ludzie nie usypali mogiłki, nie zatknęli na niej chrestu, i nie poczęli się rozchodzić... Teraz dopiero, kiedy sam z Karpem pozostał, spojrzał dziwnie na dwa krzyże stojące przy sobie, usta mu drgnęły zbliżył się i pocałował jeden i drugi... westchnął lekko:

— Proszczajte... Chodźmy Karpe...

Przyszli na chutor. Tymon siadł na przyzbie, oparł głowę na dłoniach i dumał — stary obchodził go z daleka przystanął, popatrzył na niego... twarz krzywiła mu się jak do płaczu, ale łez nie puścił... machnął ręką i dalej krzątał się po chacie.

Naraz Tymon się zerwał, wbiegł do chaty i ściągnął kaganek stojący na kominie. Stary przystąpił i z rąk mu go odebrał. — Pójdę i ja rzekł smutno.

Wyszli w sad, przeszli go — za wisznikiem była pasieka Karpowa — ule stały poustawiane szeregami w cieniu lip rozłożystych... słońce dogrzewało, pszczoły brzęczały wesoło... Zazula w jarze kukała, słowik na leszczynie zawodził, jaskółki świegocąc oblatywały ponad głowami... świat cały śmiał się i śpiewał...

Stary nie patrzał, nie słuchał, szedł szybko z głową spuszczoną... młody z wolna postępował za nim, czoło podniósł w górę, spojrzał po świecie Bożym. — Ścieżką za pasieką szła dziewczyna z koromysłem przewieszonym przez ramię, czarnemi oczyma w step pogoniła i spiewała:

„Krasna kałyna
„Czoho ty w kozaka wlubyłaś,
„Mołodyj maje harnu diwczynu
„Bude kałyna żuryłaś."

Tymon stanął, posłuchał i westchnął. Gdzie pasieka się kończyła, a jar zaczynał, stał dąb olbrzymi, pień jego wypruchniały, wewnątrz pusty, czerniał szeroką czarną czeluścią.

— Wejdź Tymone.

Tymon wsunął się wgłąb pnia. Pod pniem, w ziemi, było wejście ocembrowane starannie jak studnia, obaj po drabinie spuścili się w głąb. Tutaj Karp zapalił kaganek — czerwone światło oświeciło ciemne podziemie. Był to mały ciemnik wyłożony dębowemi klocami, suchy, czysty, bez okna, z jednym tylko wejściem.

W środku, na drewnianym postumencie, rozciągnięta leżała skóra końska z ogonem i grzywą konopiastej barwy, na niej kulbaka kozacka wysoka, uzdeczka pętana kozacka, na kuli kolbaki przewieszona krzywa szabla, dwa pistolety i nahaj kozaczy w srebro okuty, — nad tem wszystkiem sterczała utkwiona drzewcem w ziemię długa, zardzewiała spisa. Karp podniósł kaganek nad głowę — oglądał wszystko po szczególe, po kolei brał w rękę każdy rzemień, szablę z pochwy wyciągnął, błysnął białą stalą w powietrzu, przyjrzał jej się pod światło, pocałował i powiesił na swem miejscu... nahaj rzemieniem okręcił około dłoni, podniósł w górę, spuścił aż świsnęło w powietrzu.

— Haj, haj!... rzekł z cicha. Obrócił się do Tymona.

— Dywiś synku, szczo z nas ostałoś!... — westchnął i skórę końską dłonią dogłaskał. — Jeszczeż my za Kubaniem szukali swobody, jeszcześ z za Kubaniu rzeki wyglądali w step — słuchali, czy nam bujny nie dmuchnie w ucho z Ukrainy dobrej wieści...

Zadumał się.

— To moje, teraz chodźmy do tego co twoje.

W drugim końcu sklepu okuta i zabezpieczona od wilgoci stała duża skrzynia. Tymon wieko odrzucił i rękę w niej zanurzył — wyjął książkę — stary przyświecił... on książkę roztworzył.

— To nie to! — rzucił książkę na ziemię, a ze skrzyni wziął drugą. — I to nie... — po kolei brał trzecią, czwartą i wszystkie składał na ziemi, aż ułożył się z tego stos wielki.

Były tam skarby poezyi ukraińskiej, teraz zamkniętej, ukazem wzbronionej — całe wydania Kotlarewskiego, Kulisza, Osnowianeńka, całe paki odpisywanych od ręki cudnych pieśni Wasyla Kulika. . Tymon to wszystko przekładał, szukał, aż znalazł.

— Szewczeńko — rzekł półgłosem. — Ty nasz rodzony druże i brate, kozacze chłopie, moskiewski sołdacie!... pomóż że teraz mnie słabemu słowem twojem przemówić do narodu, za który zginąłeś, dla którego całą dolę przespiewałeś.

Pochylił się jeszcze nad skrzynią i teraz wyjął z niej teorban kozaczy. Wziął go, obejrzał pilnie i poruszył palcami po strónach — ciemnik rozbrzmiał akordem krótkim, dzikim a tęsknym. Czoło Tymona rozjaśniło się.

— Patrz, to moje!... i jak ty tu przed chwilą całowałeś szablę twoją starą, tak ja teraz — podniósł teorban w górę i pocałunek złożył na strunach.

— Twoje didu, koń i szabla — moje pieśń, ta słowo... Cześć i sława twojemu, co sławę naszą nosiło kiedyś po woli... cześć i sława mojemu, bo sławę naszą wyniesie kołyś na wolu...

Twoje i moje schroniło się tu razem przed wrogiem... ale hodi wże! marnieć im tu dłużej w grobie. — Ty ze swojem czekaj, na to jeszcze za rano... ja z mojem pójdę!...

Stary smutnie skinął głową.

— Pójdziesz?

— A na cóż ja tu teraz w siole?... pójdę w świat po ludziach. Między narodem duch jest — ja widziałem go ta własnemi oczami!... Gdzie są tacy jak Iwanko, tam i swoboda żyć musi! Ten mołojec nauczył mnie jednem słowem swojem... „siłę budzić trzeba". Pójdę ja z teorbanem, pieśń kozaczą spiewać póty, póki w chłopach kozaków nie pobudzę! A może, może jak wrócę tu kiedyś w sioło, ty didu wyniesiesz nam swoje... swoją szablę, i kulbakę i rozum twój, i radę twoją serdeczną...

Stary głową potrząsnął.

— Tody... tody... po starym Karpie tylko mogiła zostanie śladem... A wiesz że ty synku wiele ja lat noszę na plecach?... dziewięćdziesiąt i jeden, i dwa miesiące... a ty każesz mi czekać! Dobrze! czekać będę w mogile i z mogiły tobie błogosławić...

Na drugi dzień rychłym rankiem z chaty Karpowej wychodził Tymon. Na nim hołosznie sine, szerokie, bóty grube i świtka czarna, w ręku dębczak okuty, na ramieniu czuchaj ciemno mereżony, a pod czuchajem teorban.

Za nim wyszedł stary Karp, milcząc wyszli za obejście, za wrota, i stanęli na drodze, tutaj ujęli się za ręce i długo patrzeli sobie w oczy... Karp przeżegnał Tymona krzyżem swiętym.

— Nechaj tebe Boh... — zatknął się, coś go w gardle zadławiło — Mój synu! — i machnął ręką... Tymon rzucił mu się na szyję.

— Mój ojcze! — wyrwał się z objęć starca, wyprostował się i zawołał:

— Sława Bohu! — odwrócił się i szybkim poszedł krokiem...

Biegł szybko nie oglądając się za siebie, dopiero daleko za chutorem, gdzie dwa szlaki rozchodzą się na prawo i na lewo, stanął i obejrzał się do koła.

Kilka dni dopiero jak przebiegał ten step pełen radości! dzisiaj tak samo świt poranny tumany snuł po ziemi, tak samo zorza jaśniała, tak samo ptactwo dzikie budziło krzykiem naturę, tak samo długą linią rysowało się z daleka jego rodzinne sioło, a on już z sioła! — Z sioła... rzekł z cicha. Spojrzał w niebo, potem na to swoje sioło ukochane, jakby tam u góry modlił się dla niego o dolę, potem na dwa szlaki przed sobą. Westchnął, podumał i poszedł na Kaniów.

IV.

Jedną stroną jasne słońce czerwienieje, za gaj się chowa coraz niżej i niżej, a drugą już blady księżyc wschodzi i goni je po sinem niebie, coraz wyżej i wyżej...

Czarnym szlakiem ku Krymowi czumacka wałka zwolna się toczy, z daleka już słychać skrzyp mazi; Czumacy pieśni spiewają, dochodzą do karczemki na nocleg.

Karczemka ta mała, biedna, komyszem kryta, na bok jeden przechyliły ją wiatry od morza... komin na niej z chróstu, gliną lepiony, okienka małe, ot zwyczajna karczemka dla wygody Czumaków i włóczęgów burłaków, ciągnących tędy na Krym, albo za Don za zarobkiem. Smutny jej pozór, nawet sadek wiśniowy jej nie ocienia, do ściany tylko przytuliła się obórka maleńka, a przed progiem studnia z wysokim żurawiem.

Na około kraj szeroki, ku wschodowi ciemny, zielony z blizka, u krańca siny — od zachodu więcej kępiasty, obwiedziony rąbkiem lasu — na północ oczerety porosły szeroko...

Na progu karczemki siedział człowiek z głową opartą o odźwirek i patrzał po rozległej okolicy... Odzież jego grubo przysypana pyłem i kij rzucony wraz z czapką przy nogach, świadczyły, że z dalekiej przyszedł drogi — bóty na nim schodzone, świtka zszarzana, obok na progu czuchaj mereżony, a na nim teorban kozaczy.

Teorbanista — dziwo że nie ślepy i młody, twarz jego łagodna, otwarta i smutna.. Okiem i duchem zatonął w ciszy wieczoru i dumał. O ucho jego uderzyły śpiewy zbliżających się czumaków — odwrócił głowę, spojrzał na rozciągnioną po szlaku wałkę, posłuchał pieśni i uśmiechnął się.

Zatrzymała się wałka, mazie jedna po drugiej zachodziły przed karczmę. Usłużny żyd wybiegł przed drzwi. Gwar i hałas, urywane pieśni, zastąpiły głuchą dotąd ciszę.

— Sława Isusu Chrystu!

— Na wiki sława!

Stary Czumak prowadzący wałkę, spojrzał.

— Nu chłopci!.. macie szczęście, muzyka!

Szły Czumaki z Czychryna — Zastroiły kobzarja...

zaśpiewał ktoś ze środka wałki.

Homeryczny śmiech zagłuszył dalszy ciąg dumki. Wśród wesołej wrzawy wyprzęgano woły i puszczano je na paszę.

Zaszło słońce, księżyc wybił się na niebo — wśrodku stoczonych w czworobok wozów zabłysło ognisko, dorzucany oczeret trzaskał, buchał dymem i iskrami, a na około oświetlone z jednej strony czerwonym blaskiem ognia, z drugiej łagodnym światłem księżyca, snuły się charakterystyczne postacie Czumaków.

W kociołkach warzono strawę — jedni obsiedli ognisko w około, drudzy strudzeni legli w trawie — komuś przybłąkała się dumka na usta... zaczął, nie dokończył... ktoś nie zaczął a skończył... a wszyscy gwarzyli. (C. d. n.)

## RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

**Przyjemny parlament.** Podczas ostatnich zaburzeń w Port-au-Prince, na wyspie Haiti, zdarzył się wypadek, który przewyższa zapewne wszystko, co kiedykolwiek zdziałano na polu rozpraw parlamentarnych.

Właściwa przyczyna zajścia dotychczas nie jest jeszcze wiadomą, zdaje się jednak, że deputowany p. Petit Canal, brat prezydenta rzeczypospolitej Haiti, śmiertelnie obrażony został przez innego członka tego ciała ustawodawczego, p. de Lorm, wskutek czego dobył rewolweru i na miejscu zastrzelił przeciwnika.

Było to hasłem dla wszystkich deputowanych do użycia rewolwerów, jakoż obie strony rozpoczęły taką piękną tyraljerkę w sali rozpraw, jakiej nie powstydziłby się żaden bataljon strzelecki na polu walki.

Ogień był żywy i gęsty, a że panowie deputowani haityńscy wcale nie źle strzelają, dowodzi rezultat tej strzelaniny.

Około 40 członków dostojnego zgromadzenia zaległo wnet pobojowisko, jako niezdolni do dalszej walki bądź na zawsze, bądź na czas jakiś.

Na tem jednak nie skończyła się kampanja, ponieważ publiczność na ulicy dowiedziawszy się, w jaki sposób reprezentanci narodu prowadzą rozprawę, wcisnęła się do sali parlamentu i podjęła dalsze zapasy, a po niej nadbiegła policja, która także nie dała się długo prosić do udziału.

Około tego czasu poległ od kuli prezydent senatu, który usiłował pogodzić „zwaśnionych“, i zdawało się, że walczące strony wystrzelają się w sali do nogi, kiedy pojawiło się wojsko i nie namyślając się długo, rozpoczęło dzieło pacyfikacji od rzęsistego ognia kartaczownicy w zbity tłum zapaśników.

Dalszym aktem dzieła pacyfikacji ze strony wojska było kilka granatów, które nie chybiły celu i nareszcie przywróciły pożądany porządek, zabrakło bowiem kombatantów do dalszej walki.

Od tej chwili mieszkańcy Port-au-Prince używają błogiego spokoju i pięknie chowają zabitych.

**Ciekawy proces** wytoczony został rządowi austyackiemu przez spadkobierców hrabiny Bathyanyj, małżonki hr. Kazimierza Bathyanyj. Dama ta, opuszczając czyli właściwie uciekając z mężem swym po stłumieniu rewolucji z r. 1848 z Węgier, zakopała w ziemi swoje brylanty i kosztowności. Pokojówka hrabiny jedna wiedziała o tem, nie zdradzając jednak nikomu tajemnicy. Dopiero przed śmiercią zeznała ona o tem w r. 1850 swemu spowiednikowi, który zawiadomił o zakopanych brylantach rząd austrjacki. Rząd odkopał brylanty, przedstawiające wartość około 300.000 zlr. i skonfiskował je. Teraz upominają się spadkobiercy hr. Bathyanyj o zwrot tych kosztowności.

**Oryginalny środek.** Pewnemu Francuzowi zamieszkałemu w Luizjanie zniknęła żona.

Wpadł on na oryginalny sposób skłonienia lekkomyślnej małżonki do powrotu.

Zamiast ścigać ją, ogłosił w kilku gazetach wiadomość, iż padła nań wygrana 50.000 dolarów.

Czy uwierzycie, kochająca żona wróciła...

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.